

Wiktor Szczerba

Młodzież robotnicza i chłopska w szkołach wyższych

Przegląd Socjologiczny / Sociological Review 22/2, 253-257

1968

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MŁODZIEŻ ROBOTNICZA I CHŁOPSKA W SZKOŁACH WYŻSZYCH

W „Trybunie Ludu” (5 kwietnia 1968) w artykule Władysława Katy pt. *Kto i dlaczego przychodzi na studia* czytamy: „Zjawisko nieproporcjonalnie małego udziału młodzieży robotniczo-chłopskiej na studiach dziennych występuje w sposób szczególnie jaskrawy w Warszawie. W roku akademickim 1965/1966 studenci pochodzenia robotniczego przyjęci na pierwszy rok studiów w Politechnice Warszawskiej stanowili 22,1%, chłopskiego — 11,7%, dzieci pracowników umysłowych, rzemieślników i wolnych zawodów stanowiły — 66,2%. Na Uniwersytecie Warszawskim młodzieży pochodzenia robotniczego było 19,7%, chłopskiego 8,5%, pracowników umysłowych i innych — 71,8%. Podobnie kształtuje się sytuacja na innych warszawskich uczelniach. Procent młodzieży robotniczo-chłopskiej w pozawarszawskich ośrodkach akademickich jest nieco wyższy [...]

„Zastosowana w ciągu ostatnich trzech lat punktacja dodatkowa przy kwalifikowaniu na studia przyczyniła się jedynie do pewnego, acz niecałkowitego zahamowania tendencji szybkiego spadku udziału młodzieży robotniczo-chłopskiej na studiach wyższych; nie poprawiła natomiast samego składu socjalnego studiującej młodzieży. Oto dane, które uzasadniają powyższą tezę.

„W roku akademickim 1966/1967 w Politechnice Warszawskiej studiowało na I roku 32% młodzieży robotniczo-chłopskiej, a w 1967—1968 roku — 29,7%. Na Uniwersytecie Warszawskim odpowiednie liczby wyniosły: 28,7% i 27%; w Akademii Medycznej — 25% i 18,7%; w SGPiS — 40,4% i 38,2%; w SGGW — 48,9% i 51%.

„Poza SGGW we wszystkich wymienionych tu uczelniach stołecznych nastąpił w roku 1967/1968 dalszy procentowy spadek młodzieży robotniczej i chłopskiej w przyjęciach na I rok studiów. Jakie są więc przyczyny tego zjawiska?

„Pierwszą jest mały udział absolwentów szkół średnich pochodzenia robotniczego i chłopskiego wśród zgłaszających się na studia.

„Na początku roku akademickiego 1967/1968 zgłosiło się I rok studiów Politechniki 34% dzieci robotników i chłopów, w SGPiS — 41,7%, w SGGW — 49,7% i w Akademii Medycznej — 21%. Absolwenci szkół średnich wywodzący się ze środowisk robotniczych i chłopskich najczęściej podejmują po maturze pracę zarobkową. Po pewnym okresie pracy ubiegają się o przyjęcie na studia wyższe w systemie szkolnictwa wieczorowego i zaocznego. Łącząc pracę zawodową ze studiami, ludzie ci mają znacznie trudniejsze warunki zdobywania kwalifikacji niż dzieci pracowników umysłowych. W Warszawie np. słuchacze pochodzenia robotniczego i chłopskiego na studiach wieczorowych i zaocznych stanowią — w zależności od kierunku nauki — od 60 do 75% ogółu studiujących”.

Drugą najbardziej istotną przyczyną tej sytuacji jest po prostu skład socjalny uczniów szkół średnich oraz różnice w programach nauczania poszczególnych typów szkół.

„Młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego stanowiła w liceach ogólnokształcących w roku szkolnym 1965/1966 w całej Polsce — 46,4%, a w Warszawie — 14,4%. Odmienna sytuacja istnieje w średnich szkołach zawodowych. Młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego stanowiła w tym samym roku w Polsce 62%, a w Warszawie 44%. Tymczasem przyjęto na studia 62,7% uczniów liceów ogólnokształcących, a zaledwie 14,4% uczniów szkół zawodowych. W 1966/1967 r. liczby te kształtowały się następująco: z liceów pochodzi 59,3% studentów, ze szkół zawodowych — 15,5%. Taki niski udział absolwentów średnich szkół zawodowych wśród przyjętych na pierwszy rok studiów wyższych nie

wynika z braku zdolności tej młodzieży w porównaniu do uczniów liceów, z mniejszej pracowitości czy niechęci do studiów. Przyczyny te tkwią gdzie indziej [...]

„Według starych, obowiązujących jeszcze do 1970 roku starsze klasy, programów nauczania w klasach VIII—IX liceum ogólnokształcącego wyznaczono 17 godzin tygodniowo na matematykę, natomiast w trzyletnich technikach ekonomicznych — 9 godzin, w technikum pięcioletnim — 12 godzin. Matematyka jest, oczywiście, podstawą egzaminów wstępnych na studia ekonomiczne, techniczne i rolno-leśne. Żaden absolwent technikum ekonomicznego nie jest w stanie zdać egzaminu z matematyki np. w SGPiS bez dodatkowego przygotowania się, bo wymaga się tam — i słusznie — znajomości programu matematyki z zakresu liceum ogólnokształcącego. Podobne kłopoty mają też absolwenci techników mechanicznych, którzy powinni być najlepiej przygotowani do podjęcia studiów wyższych na wydziałach mechanicznych politechnik i zawodowych szkół inżynierskich [...] Nie są też przygotowani z fizyki i języka obcego na równi z absolwentami liceów ogólnokształcących”.

W innym artykule pt. *Czy zginęli na fali wyżu* („Trybuna Ludu”, 28 stycznia 1965) B. Moliński pisze: „Najmniej kandydatów z rodzin robotniczych znalazło się na filologii orientalnej (8%), muzykologii, filologii angielskiej, socjologii (12%), łączności, architekturze (16%), technologii rolno-spożywczej (15%), weterynarii. Różnice te są jeszcze bardziej widoczne w grupie młodzieży chłopskiej. Na filologii angielskiej, na której na każde 10 miejsc kandydowało 45 osób, znalazło się 0,8% studentów pochodzenia chłopskiego. Bardzo mało — od 1% do 7% — przyjęto również m. in. na filologię orientalną, historię sztuki, pedagogikę, socjologię”.

Problemy, o których mowa, znalazły wyraz w zbiorowej pracy pt. *Uczniowie i absolwenci szkół województwa koszalińskiego*, która ukazała się pod redakcją Bożeny Chmielewskiej (Koszalin — Poznań 1968, ss. 308). Opisane w tej pracy fakty, zasygnalizowane procesy i zjawiska rzucają wiele światła na wielorakość i złożoność źródeł tego niepokojącego zjawiska, jakim jest malejący w ostatnich latach udział na wyższych studiach młodzieży pochodzenia chłopskiego i robotniczego.

Zebrane przez autorów omawianej pracy fakty mają szczególną wymowę, gdyż badania odnoszą się do województwa „typowo” oddalonego od centralnych ośrodków wyższych uczelni, jak Warszawa, Kraków czy Wrocław. Z całą pewnością zjawiska, o których będzie mowa, odnoszą się w dużej mierze i do województw: zielonogórskiego, szczecińskiego, olsztyńskiego, białostockiego czy warszawskiego.

Zacznijmy od przypomnienia olbrzymiego wysiłku nauczyciela polskiego, który, można śmiało powiedzieć, przybył na te ziemie „głodny i obdarty”, aby od podstaw budować szkołę polską. Już w roku szkolnym 1945/1946 zorganizowano 332 szkoły podstawowe, a w roku 1965 było ich 1087 (o 4175 izbach).

Dodajmy, że w pierwszych latach odbudowy kraju, przy niebywałym w historii wyniszczeniu kadr wykwalifikowanych, nauczyciel często musiał przechodzić ze szkoły na odpowiedzialne stanowiska państwowe. W związku z tym zachodziła konieczność wprowadzania do szkolnictwa niewykwalifikowanych nauczycieli oraz ich doksztalcania. „Przez okres pierwszego powojennego dziesięciolecia — czytamy w tej pracy — liczba nie kwalifikowanych nauczycieli szkół podstawowych kształtowała się w granicach 40—50%” (s. 25). W roku zaś 1965 bez pełnych kwalifikacji jest już tylko 1,6%. Należy jednak zaznaczyć, że nie-

kwalifikowani nauczyciele w zasadzie skupiali się w szkołach na wsi. Jeśli dodamy, że szkoły na wsi nie zawsze egzekwują wykonywanie obowiązku szkolnego (T. Szrubka, s. 29, podkreśla m. in. zbyt dużą odległość do szkoły, słaby stan zdrowia, niski poziom świadomości rodziców itp.), to możemy mieć pojęcie o poziomie niektórych szkół na wsi w porównaniu z miejskimi.

Badania szczegółowe przeprowadzone w koszalińskich liceach wykazały, że około 39,7% młodzieży licealnej mieszka poza siedzibą szkoły i musi do liceum dojeżdżać. Są to przeważnie dzieci chłopskie i robotnicze. Wiadomo, ile czasu i zdrowia musi tracić ta młodzież na dojazdy do szkoły i jak mało pozostaje czasu na naukę własną.

Województwo koszalińskie ma w zasadzie charakter rolniczy, „wiejski”: 45% ludności żyje z rolnictwa, (38% w skali kraju). Wkład do dochodu narodowego rolnictwa w skali województwa wynosi 44,5%, w kraju 26,1%. W związku z tym szczególna rola powinna przypadać szkołom rolniczym. Nie można powiedzieć, na podstawie danych liczbowych, że obserwujemy tu swoisty „rozmach”. Okazuje się, że absolwentów średnich szkół rolniczych w roku 1960/1961 było 160, a w 1965/1966 — 273. Stwierdzając nawet pewien wzrost, nie można sądzić, że zapotrzebowanie społeczne na tego rodzaju kadry jest zaspokajane w sposób dostateczny. Toteż próbuje się uzupełniać społeczne potrzeby na kadry rolnicze drogą kształcenia zaocznego lub w szkołach przysposobienia rolniczego, tzw. SPR-ach. Nie daje to niestety natychmiastowego zaspokojenia potrzeb rolnictwa, ponieważ prawie 100% młodzieży z SPR-ów czyni wszystko, co jest możliwe, aby znaleźć się w innych szkołach. Ponadto „z analizy odpowiedzi uczniów i wypowiedzi ich rodziców wynika, że niemal wszyscy uczniowie przyszli do SPR nie posiadając ani zamiłowania, ani zainteresowania do rolnictwa” (s. 152). Jak wynika z badań, szkoła czyni bardzo wiele dla rozbudzenia tych zainteresowań. I poważna część tej młodzieży (często zresztą nie mając innych możliwości) dostaje się do trzyletniego technikum i po jego ukończeniu deklaruje w większości podjęcie pracy w rolnictwie.

„Zupełnie inaczej kształtuje się to zagadnienie wśród uczęszczających do techników rolniczych” (s. 123). Na 377 osób badanych 220 pragnie po maturze pójść do pracy, 126 — podjąć dalsze studia, reszta nie ma jeszcze skryzystalizowanego poglądu. Ci, którzy „zdecydowanie chcą iść do pracy” są przeważnie dziećmi chłopskimi i robotniczymi (głównie PGR). Są to dzieci z rodzin bardzo licznych i małoamożnych. „Awans” ich — jak widzimy — do studiów wyższych ograniczają nie „pewne limity przyjęć”, lecz ściśle określone warunki ich życia i pracy.

Omawiana praca pozwala spojrzeć na jeszcze jedną stronę województwa koszalińskiego. Jak wiemy północną granicą województwa koszalińskiego jest Bałtyk. Szkolnictwo winno więc odgrywać poważną rolę w kształceniu zawodowych rybaków. Jednak w środowiskach wsi przymorskich „nie wykształciła się jeszcze tradycja rybaka” (s. 155). Funkcjonująca od 1953 roku Zasadnicza Szkoła Rybołówstwa Morskiego w Darłowie odsłania w całej pełni tę swoistą sytuację. Zwraca się uwagę w omawianej pracy na to, „że do szkoły przybywa młodzież w zasadzie nie związana z morzem, a przynajmniej ta, której rodzice nie są związani z zawodem lub pracą z morzem”. Przychodzą uczniowie z różnych terenów Polski, a na przykład ostatnio z województwa koszalińskiego było tylko 46% wszystkich uczniów. Znamienna rzecz, że przybywająca młodzież z całego kraju pochodzi w około 29% z rodzin inteligenckich, w tym jest ponad 13% dzieci rodziców zarabiających ponad 3 tys. miesięcznie.

Okazuje się, że młodzież przed obraniem kierunku nauki nie jest dostatecznie informowana co do funkcji tej szkoły i zawodu rybaka na Bałtyku. Marzyła ona raczej o „pływaniu na dalekich morzach”, „pracy w ratownictwie okrętowym” itp. Toteż na przyjmowanych przeciętnie 80 uczniów 30 opuszcza szkołę przed jej ukończeniem.

Na tym tle pokazano w pracy szerszy problem. Mianowicie młodzież robotnicza i chłopska jest bardzo słabo informowana o możliwości wyboru kierunków studiów. W analizie tego zagadnienia podkreśla się: „Generalnie rzecz biorąc, około 50% badanych to ludzie nie przekonani w pełni, że postąpili słusznie kończąc wybrany kierunek studiów” (s. 193).

W omawianej pracy stwierdza się, że „Studia Nauczycielskie (2-letnie) stanowią ważne ogniwo w systemie kształcenia nauczycieli w naszym województwie” (s. 92). Te zakłady kształcenia nauczycieli stanowią obecnie zasadnicze źródło dopływu młodych kadr do szkół województwa, głównie do podstawowej szkoły 8-letniej. W skrócie ukazuje się na tym tle pewne jaskrawsze zjawiska, dotyczące sytuacji szkoły i nauczyciela. Oto przykłady. Kandydatów do SN przyjmuje się w dwóch terminach — początek lipca (podobnie jak w wyższych uczelniach) i przy końcu sierpnia. Wynika to z trudności rekrutacji kandydatów do zawodu nauczycielskiego.

Badając z tego punktu widzenia SN w Słupsku podaje się następujące dane. W r. 1966 na planowanych 200 miejsc zgłosiło się w pierwszym terminie 65 kandydatów, spośród których przyjęto 64. W drugim terminie zgłosiło się 185 kandydatów, przyjęto 148.

Kto głównie zgłasza się w drugim terminie? Przede wszystkim ci, którzy nie mogli dostać się w lipcu do innych wyższych szkół. W tej grupie jest przeważnie młodzież ze środowisk miejskich, z rodzin inteligentnych. Ta młodzież w swojej masie opuszcza SN przed jego ukończeniem. „Co trzeci student rezygnuje ze studiów w SN” (s. 98). Wskazuje się na interesujący fakt, że zgłaszający się w pierwszym, a także i drugim terminie kandydaci pochodzenia robotniczego i chłopskiego „stanowią grupę stabilną i ambitną w pracy”.

Głównie ta grupa podejmuje pracę w szkołach. W toku studiów kandydat na nauczyciela zdobywa dość szerokie horyzonty co do rozumienia funkcji człowieka w systemie socjalistycznego budownictwa. Ten problem dość wnikliwie naświetlony jest w omawianej publikacji. Wskazuje się tu jednocześnie na to, że młody nauczyciel wychowany w nowych warunkach społecznego bytu i postępu technicznego widzi także zależność wydajnej pracy od właściwie zorganizowanego warsztatu pracy. Wyciąga takie wnioski, widząc, jak rosną i rozwijają się wokół szkół nowoczesne zakłady pracy i jak w ocenie rezultatów produkcji wiąże się funkcję człowieka z rozwojem warsztatu pracy. Tymczasem w odniesieniu do szkoły, szczególnie wiejskiej, stosuje się inne kryteria. „W odniesieniu do pracy nauczyciela typowe jest zjawisko przeceniania możliwości samego człowieka. Postęp pedagogiczny nie idzie w parze z unowocześnieniem warsztatu pracy” (s. 230). Badani młodzi nauczyciele podkreślają w swoich wypowiedziach myśl, że konfrontacja zadań stawianych szkole i nauczycielowi wiejskiemu z realnymi warunkami ich warsztatu pracy odsłania wielkie dysproporcje (s. 232). Nauczyciele wskazują na tego rodzaju mankamenty w pracy szkoły, jak „brak wody”, „złe ogrzewanie i oświetlanie izb lekcyjnych”, „słabą pomoc środowiska” itp. Ponadto należy pamiętać, że „młody nauczyciel przychodzący na wieś najczęściej nie może liczyć na pomoc rodziny” (s. 233). Często niezamożna rodzina oczekuje od niego pomocy.

Warunki pracy na wsi nie stwarzają dla nauczyciela możliwości stałych kontaktów z różnorodnymi ogniskami kultury i nauki. W związku z tym dla jego rozwoju potrzebne są od chwili rozpoczynania zajęć choćby radio, telewizor, aparat fotograficzny itp. techniczne środki kontaktowania się ze światem. Brak elementarnych warunków kulturalnego rozwoju nauczyciela na wsi prowadzi go do poczucia swego rodzaju „niższości” w hierarchii społecznej, często nawet w porównaniu ze swoimi uczniami. „A od tego zależą już — czytamy w omawianej publikacji — wyniki pracy, chęć jej doskonalenia, doksztalcania się oraz wola pozostania w zawodzie” (s. 233). Ideał Siłaczki dziś już nie wystarcza. Nauczyciel na wsi musi mieć warunki systematycznego rozwoju, aby wykonać powierzone mu zadanie kształcenia dziecka wiejskiego na takim poziomie, który pozwoli mu realizować aspiracje wchodzenia do szkół średnich i wyższych bez specjalnych „punktów za pochodzenie chłopskie”.

Podniesione przez autorów omawianej publikacji niektóre fakty i zjawiska odnoszą się w zasadzie do województwa koszalińskiego. Ponadto trzeba zaznaczyć, że w wielu wypadkach rozważania autorów są oparte na dość szczupłym materiale. Jednakże w wielu wypadkach, które szczególnie eksponowałem, autorzy wysunęli szereg problemów, które mają być podstawą dalszych badań i dyskusji.

Po pierwsze, myśląc o stworzeniu odpowiednich warunków awansu społecznego dzieci robotniczych i chłopskich na drodze szerszego otwarcia drzwi szkół średnich i wyższych należy zdecydowanie polepszyć warunki kulturalnego i naukowego rozwoju nauczyciela szkoły podstawowej, szczególnie na wsi i w małych miasteczkach.

Po drugie, należy wnikliwiej zbadać źródła (i zlikwidować je) „wieloroczności” dzieci chłopskich i robotniczych, głównie w starszych klasach szkoły podstawowej.

Po trzecie, nie można wyobrazić sobie większego napływu do szkół wyższych dzieci robotniczych i chłopskich o odpowiednim poziomie wykształcenia bez dalszego doskonalenia warunków kształcenia się tej grupy młodzieży. Autorzy omawianej publikacji szczególnie zwracają uwagę na sprawę internatów, stółówek, świetlic itp. Jak wiadomo bowiem, młodzież dojeżdżająca do szkół ma bardzo mało czasu na naukę własną, na wykorzystanie funkcjonujących ośrodków kultury itp.

Po czwarte, jak się okazuje, nadal źle funkcjonuje system informacji młodzieży odnośnie do roli i miejsca różnorodnych zawodów w naszej gospodarce i kulturze. Informacje w zasadzie ograniczają się do systemu szkolnictwa.

Wiele wniosków uzupełniających nasunie czytelnikowie lektura pracy: *Uczniowie i absolwenci szkół województwa koszalińskiego*. Poruszyłem tylko niektóre z nich.

Wiktor Szczerba